

STEPHEN
KING

LOWCA SNOW

ALBATROS

Tytuł oryginału:
DREAMCATCHER

Copyright © Stephen King 2001
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Robert Lipski 2014

Redakcja: Marta Bogacka

Ilustracja na okładce: Ivashchenko Elena

Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8215-711-6

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...

...

NDSS

Ten skrót stał się ich mottem, ale Jonesy za cholerę nie potrafił sobie przypomnieć, który z nich go wymyślił. „Zemsta jest rozkoszą bogów” – to było jego. „Ja cię pierdzielę” i parę innych, jeszcze barwniejszych bon motów wywodziło się od Beavera. Henry nauczył ich, że „karma zawsze wraca”, przepadał za takim szajsem w stylu zen, nawet kiedy byli jeszcze dzieciakami. Ale NDSS, co z NDSS? Kto to wymyślił?

Nieważne. Najważniejsze było to, że wierzyli w pierwszą połowę motta, kiedy było ich czterech; w całość, gdy było ich pięciu; drugą połowę, gdy znów została ich czwórka.

Kiedy znów było ich czterech, dni stały się mroczniejsze. To były dni z rodzaju „ja cię pierdzielę”. Rozumieli to, choć nie wiedzieli, dlaczego tak się działo. Podejrzewali, że coś jest z nimi nie tak, a przynajmniej, że coś się zmieniło, ale nie mieli pojęcia co. Wiedzieli, że są osaczeni, nie potrafili jednak określić, jak do tego doszło. A wszystko to na długo przed światłami na niebie. Przed McCarthyem i Becky Shue.

NDSS. Czasami to tylko słowa. A kiedy indziej nie wierzysz już w nic, prócz ciemności. I jak wtedy miałbyś sobie radzić?

1988: Nawet Beaver miewa gorsze dni

Powiedzieć, że małżeństwo Beavera się nie ułożyło, to tak jakby powiedzieć, że start promu kosmicznego Challenger nie całkiem się udał. Związek Joego „Beavera” Clarendona i Laurie Sue Kenopensky przetrwał nieco ponad osiem miesięcy i łubudu, posypał się z hukiem i został po nim tylko cholerny bałagan.

Beav jest zasadniczo pogodnym facetem, każdy jego kumpel wam to powie, ale właśnie nadeszły dla niego naprawdę trudne chwile. Nie widuje się z przyjaciółmi (a przynajmniej z tymi, których uważa za swoich prawdziwych przyjaciół), jeżeli nie liczyć jednego tygodnia w listopadzie, kiedy spotykają się jak co roku, a w listopadzie zeszłego roku on i Laurie Sue byli jeszcze razem. Ich związek już się sypał, ale nadal byli razem. Teraz spędza sporo czasu – dobrze wie, że zdecydowanie za dużo – w tawernach w okolicy Starego Portu w Portlandzie: w Porthole, Seaman’s Club, Free Street Club. Za dużo pije, popala za dużo trawki, a rano nie może patrzeć na swoje odbicie w lustrze: odwraca spojrzenie i zaczerwienionymi oczami spogląda w bok, myśląc sobie: Muszę przestać przesiadywać w knajpach, bo niedługo skończę jak Pete. Chryste Panie na bananie.

Koniec z klubami, z imprezowaniem, świetny pomysł, bez dwóch zdań, ale zaraz znów się tam pojawia, cmoknijcie mnie w gwizdek i co u was słychać. W ten czwartek trafia do Free Street, w rękę ma piwo, w kieszeni skręta, a z szafy grającej dochodzą dźwięki jakiegoś przeboju instrumentalnego, który brzmi jak The Ventures. Nie pamięta tytułu tego szlagiera sprzed lat. Ale zna go, od czasu rozvodu często słucha stacji radiowej z Portlandu nadającej stare złote przeboje. Działają na niego kojąco. A te nowe kawalki... Laurie Sue znała i lubiła wiele z nich, ale Beaver za nimi nie przepada.

We Free Street jest prawie pusto, paru klientów przy barze i drugie tyle w głębi sali, przy stole bilardowym. Beaver i jego trzech kumpli siedzą przy stoliku, popijając kuflowego millera

i grając w karty starą wysłużoną talią, żeby ustalić, kto płaci za kolejkę. Co to za utwór, z tymi charakterystycznymi gitarami? *Out of Limits*? *Telstar*? Nie, w *Telstar* jest syntezator, a tu go brak. W sumie co to kogo obchodzi?

Tamci trzej rozmawiają o Jacksonie Browne, który występował wczoraj wieczorem w Civic Center i dał naprawdę świetny występ, a przynajmniej tak twierdzi George Pelsen, który był na koncercie.

– Opowiem wam o czymś jeszcze, co było zajebiste – mówi George, spoglądając na nich świdrującym wzrokiem. Wysuwa do przodu podbródek i odwraca głowę, by pokazać im wszystkim czerwony ślad z boku szyi. – Wicie, co to jest?

– Malinka, no nie? – odzywa się dość nieśmiało Kent Astor.

– Pewno że tak – potwierdza George. – Po koncercie pokręciłem się z chłopakami przy wyjściu ze sceny. Liczyłem, że uda mi się zdobyć autograf Jacksona. Albo, czy ja wiem, może Davida Lindleya. Jest spoko.

Kent i Sean Robideau zgadzają się, że Lindley jest spoko – na pewno żaden z niego bóg gitary, co to, to nie (bogiem gitary jest Mark Knopfler z Dire Straits, Angus Young z AC/DC no i, ma się rozumieć, Clapton), ale w sumie jest całkiem niezły. Świetnie improwizuje, no i te jego dredy. Aż do ramion.

Beaver nie włącza się do dyskusji. Pragnie tylko się stąd wydostać, wyrwać się z tego zatęchłego żalosnego baru i odetchnąć świeżym powietrzem. Wie, co zamierza powiedzieć George, i wie, że tamten kłamie.

Ona wcale nie miała na imię Chantay, nie wiesz, jak się nazywała. Przeszła obok, jakby w ogóle cię tam nie było, kim zresztą mógłbyś być dla takiej dziewczyny jak ona, kolejnym długowłosym robotnikiem z kolejnego robotniczego miasteczka w Nowej Anglii. Wsiadła razem z kapelą do autokaru i tyle ją widziałeś. Znikła raz na zawsze z twojego pieprzonego nudnego życia. The Chantays to nazwa zespołu, którego właśnie słuchamy, nie Mar-Kets, nie BarKays, ale właśnie Chantays, tytuł utworu

to *Pipeline*, a ten znak na twojej szyi to nie malinka tylko ślad po maszynie do golenia.

Tak właśnie myśli Beaver i nagle słyszy płacz. Nie w knajpie, lecz w swoim umyśle. Płacz z przeszłości. Ten szloch wdziera się do głowy niczym odłamki szkła i do diabła, ja cię pierdzielę, niech ktoś coś zrobi, żeby on w końcu przestał płakać.

To ja sprawiłem, że przestał, myśli Beaver. To byłem ja. Sprawilem, że się uspokoił. Przytuliłem go, a potem mu zaśpiewałem.

Tymczasem George Pelsen opowiada im o tym, jak drzwi w końcu się otworzyły, ale nie pojawił się w nich Jackson Browne, ani nawet David Lindley, tylko trzy dziewczęta z chóru, Randi, Susi i Chantay. Seksowne, wysokie i takie apetyczne.

– Rany! – woła Sean, wywracając oczami. Jest niskim, korpulentnym facetem, którego erotyczne podboje sprowadzają się do niezbyt częstych wyjazdów do Bostonu, gdzie gapi się na striptizerki w Foxy Lady i kelnerki w Hooters.

– Rany, skubana Chantay. – Wykonuje ręką gest, jakby się onanizował. Przynajmniej w tej kwestii wygląda na prawdziwego specjalistę, myśli Beaver.

– No i do nich zagadnałem... a konkretnie do niej, do Chantay, i spytałem, czy nie chciałaby zobaczyć, jak wygląda nocne życie w Portlandzie. A potem...

Beav wyjmując z kieszonki wykałaczkę i wsuwa ją do ust, a wszystko wokół cichnie. W jednej chwili nic nie jest dla niego ważniejsze niż ta wykałaczka. Ani stojące przed nim piwo, ani skręt w kieszeni, ani tym bardziej kompletnie zmyślona historyjka George'a Pelsena o tym, jak on i mityczna Chantay wylądowali na tylnej kanapie jego pick-upa. Dzięki Bogu wóz miał mocne resory, gdy się autko me kolebie, wiedz że jestem w siódmym niebie. To wszystko jedna wielka ściema, myśli Beaver i nagle ogarnia go głęboki smutek, większy nawet niż wtedy, gdy Laurie Sue spakowała swoje rzeczy i wyprowadziła się do matki. To ani trochę do niego nie pasuje i nagle jedyne, czego pragnie, to wyrwać

się stąd, wypełnić płuca chłodnym powietrzem o posmaku soli morskiej i znaleźć telefon. Chce zadzwonić do Jonesy'ego albo do Henry'ego, nieważne do którego, i powiedzieć: „Hej, stary, co u ciebie?”, na co któryś z nich odpowiedziałby: „No wiesz, Beav, NDSS. Żadnego odbijania piłki, żadnej gry”.

Wstaje.

– A ty co? – pyta George. Beaver chodził z George'em do Westbrook Junior College i wtedy wydawał się w porządku, ale to było bardzo dawno temu. – Dokąd się wybierasz?

– Idę się odlać – odpowiada Beaver, przesuwając wykałaczkę z jednego kącika ust w drugi.

– Lepiej się streszczaj i wracaj tu w trymiga, bo zaraz będzie najlepsze – mówi George, a Beaver myśli: majtki z rozcięciem. O rany, dziś to stare dziwne odczucie jest wyjątkowo silne, może to ciśnienie albo coś takiego.

Zniżając głos, George mówi dalej:

– Kiedy zadarłem jej spódniczkę...

– Wiem, wiem, okazało się że miała na sobie majtki z rozcięciem – dopowiada Beaver. Dostrzega w oczach George'a zdumienie, prawie szok, ale nie zwraca na to uwagi. – Marzę, żeby o tym usłyszeć.

Odchodzi, zmierzając w stronę męskiej toalety, skąd bije woń moczu i środka do dezynfekcji, mija ją, przechodzi obok damskiej toalety i drzwi z napisem BIURO, po czym wymyka się na zewnątrz, w zacisze wąskiej alejki. Niebo jest białe, zanosi się na deszcz, ale powietrze wydaje się cudowne. Naprawdę cudowne. Napęlnia nim płuca i raz jeszcze w jego myślach pojawia się tamto hasło. Żadnego odbijania piłki. Żadnej gry. Uśmiecha się pod nosem.

Maszeruje dziesięć minut, żując wykałaczkę, i czeka, aż przejaśni mu się w głowie. W którymś momencie – nie wie, kiedy konkretnie – wyrzuca skręta, którego miał w kieszeni. A potem dzwoni do Henry'ego z automatu w Joe's Smoke Shop, przy Monument Square. Spodziewa się sekretarki automatycznej,

Henry powinien być jeszcze w szkole, ale okazuje się że wcale nie, bo oto odbiera telefon już po drugim sygnale.

– Co u ciebie, stary? – pyta Beaver.

– Przecież wiesz – odpowiada Henry. – Nowy dzień, stary szajs. A u ciebie, Beav?

Beaver zamyka oczy. Przez chwilę wszystko znów jest w porządku, a w każdym razie na tyle, na ile to możliwe w tym zafajdanym świecie.

– Tak samo, kolego – odpowiada. – Dokładnie tak samo.

1993: Pete pomaga damie w opałach

Pete siedzi za biurkiem, w salonie samochodowym Macdonald Motors w Bridgton, obracając między palcami breloczek do kluczy. Na breloczku widnieją cztery niebieskie wypukłe litery: NASA.

Marzenia starzeją się szybciej niż marzyciele – to bolesna prawda, którą Pete odkrył z upływem lat. Jednak te drugie umierają wyjątkowo niechętnie, pojękując z cicha gdzieś z tyłu głowy. Upłynęło sporo czasu, odkąd Pete sypiał w pokoju o ścianach oblepionych zdjęciami rakiet Apollo i Saturn, astronautów, kosmicznych spacerów (EVA*, dla tych, którzy wiedzą, o co chodzi), kapsuł o powłokach osmalonych i stopionych przez żar podczas ponownego wejścia w atmosferę oraz LEM-ów, lądowników księżycowych, Voyagerów, a także jednym, przedstawiającym lśniący dysk unoszący się nad autostradą międzystanową nr 80 i ludzi stojących na pasie awaryjnym, którzy osłaniając oczy dłońmi, patrzą w górę. Napis pod zdjęciem brzmi następująco: „Obiekt ten, sfotografowany w pobliżu Arvada w Kolorado w roku 1971, wciąż pozostaje

* EVA – Extra-Vehicular Activity – inaczej spacer kosmiczny – wyjście kosmonauty poza statek łączące się z tzw. zajęciami pozapojazdowymi.

niewyjaśnioną zagadką. To prawdziwe UFO”.

Naprawdę sporo czasu.

A jednak udało mu się spędzić jeden z dwóch tygodni tegorocznego urlopu w Waszyngtonie, gdzie codziennie chodził do Smithsonian i przechadzał się wśród eksponatów z pełnym rozmarzenia i uśmiechem zadumy na twarzy. Większość czasu spędził, gapiąc się na księżycowe skały i myśląc: Te kamienie pochodzą z miejsca, gdzie niebo jest zawsze czarne, a wokoło panuje niczym niezmacona cisza. Neil Armstrong i Buzz Aldrin zabrali ze sobą dwadzieścia kilogramów obcego świata i teraz jest on tutaj.

A on jest tu. Siedzi za biurkiem, w dniu, w którym nie sprzedał ani jednego auta (kiedy pada, ludzie nie kupują samochodów, a w tej części świata od rana siąpi deszcz), obraca między palcami breloczek z logo NASA i wlepia wzrok w zegar. Popołudniami czas płynie wolniej, a gdy dochodzi piąta, wlecze się naprawdę niemiłosiernie. O piątej przyjdzie pora na pierwsze tego dnia piwo, nie wcześniej. Gdybyś pił za dnia, jak alkoholicy, być może musiałbyś zauważyć, że pijesz za dużo. Ale jeśli potrafisz zaczekać... zwyczajnie siedzieć, obracając w palcach breloczek na klucze, i czekać...

Tak jak na pierwsze tego dnia piwo, Pete czeka na nadejście listopada. Wypad do Waszyngtonu w kwietniu był naprawdę udany, a księżycowe skały niesamowite (wciąż na samą myśl o nich zapiera mu dech), ale pojechał tam sam. A to już nie było takie fajne. W listopadzie, kiedy weźmie drugi tydzień należnego urlopu, będzie z Henrym, Jonesym i Beaverem. I wtedy też będzie mógł napić się za dnia. Kiedy jesteś w lesie i wybierasz się z kumplami na polowanie, nie ma nic złego w tym, że się napijesz. To w pewnym sensie tradycja. To...

Drzwi otwierają się i do salonu wchodzi niebrzydka brunetka. Ma jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu (a Pete lubi wysokie kobiety) i około trzydziestu lat. Obrzuca przelotnym spojrzeniem stojące tu samochody (najatrakcyjniejszy wydaje się

nowy model thunderbirda w kolorze burgunda, choć explorer niewiele mu ustępuje), ale już na pierwszy rzut oka widać, że nie zamierza żadnego kupić. Dostrzega Pete'a i rusza w jego stronę. Pete wstaje, upuszcza breloczek z logo NASA na suszkę na blacie biurka i wychodzi kobiecie naprzeciw, żeby powitać ją w drzwiach swojego biura. Uśmiecha się do niej promiennie, angażując cały swój urok osobisty – możesz mi zaufać, dziecińko – i wyciąga rękę na powitanie. Ręka kobiety jest chłodna, uścisk dłoni zdecydowany, ale widać, że coś ją niepokoi.

– Pewnie i tak nic z tego nie wyjdzie – mówi.

– Nie należy zaczynać w ten sposób rozmowy ze sprzedawcą aut – mówi Pete. – Lubimy wyzwania. Nazywam się Pete Moore.

– Dzień dobry – odpowiada kobieta, ale nie zdradza swego imienia, które brzmi Trish. – Jestem umówiona we Fryeburgu, dokładnie za... – spogląda na zegar, który Pete obserwuje z taką uwagą przez całe popołudnie – ...czterdzieści pięć minut. Spotykam się z klientem, który chce kupić dom, a ja znalazłam mu coś odpowiedniego, no i mam szansę na sporą prowizję, tylko że...

Jej oczy wypełniają się łzami, przelęka ślinę, żeby rozluźnić ściśnięte gardło i wydobyć z siebie głos – ...zgubiłam kluczyki, ot co! Posiałam gdzieś cholerne kluczyki do samochodu!

Otwiera torebkę i zaczyna w niej grzebać.

Ale mam dowód rejestracyjny... i inne dokumenty... są tu wszystkie dane, jakich potrzeba. Pomyślałam, że może zrobiłby mi pan nowy komplet, żebym zdążyła na spotkanie. To może być dla mnie najlepsza transakcja w tym roku, panie... – Zapomniała. Nie ma jej tego za złe. Nazwisko Moore jest równie pospolite jak Smith czy Jones. Poza tym jest zdenerwowana. To z powodu kluczyków. Miał ze sto razy do czynienia z podobną sytuacją.

– Moore. Ale proszę mówić mi Pete.

– Pomoże mi pan, panie Moore? Może jest tu ktoś inny, kto mógłby mi pomóc?

Stary Johnny Damon z pewnością chętnie by jej pomógł, ale

i tak nie zdążyłaby na spotkanie do Fryeburga.

– Oczywiście możemy dorobić dla pani nowe kluczyki, ale to potrwa co najmniej dobę, a może nawet dwie – mówi.

Kobieta patrzy na niego wilgotnymi od łez, brązowymi oczami, a z jej ust wyrывa się zbolący krzyk: „Niech to szlag!”. Pete’owi przychodzi do głowy dziwna myśl, że ta kobieta przypomina mu kogoś, kogo znał dawno temu. Nie za dobrze, nie znali jej zbyt dobrze, a jednak wystarczająco, żeby uratować jej życie. Nazywała się Josie Rinkenhauer.

– Wiedziałam! – mówi Trish, nie próbując już ukryć drżenia głosu. – A niech to, po prostu wiedziałam!

Odwraca się do niego i zaczyna płakać.

Pete podchodzi i kładzie rękę na jej ramieniu.

– Proszę zaczekać, Trish. Proszę chwilę zaczekać.

Popelnia błąd, zwracając się do niej po imieniu, bo przecież mu się nie przedstawiła, ale jest tak roztrzęsiona, że tego nie zauważa, więc wszystko jest w porządku.

– Skąd pani przyjechała? – pyta. – Bo nie jesteś z Bridgton, prawda?

– Nie, mamy biuro w Westbrook. Dennison Real Estate. To ta firma z latarnią morską.

Pete kiwa głową, jakby to mu coś mówiło.

– Stamtąd przyjechałam. Zatrzymałam się tylko przy aptece, żeby kupić aspirynę, bo przed dużą prezentacją... zawsze mam migrenę. To przez stres. Ależ dudni mi w głowie...

Pete kiwa głową ze współczuciem. Wie o tym co nieco. Oczywiście na ogół w jego przypadku problemem jest piwo, a nie stres, ale tak czy inaczej dobrze wie, o czym mowa.

– Miałam trochę czasu, więc zajrzałam do małej kafejki obok apteki, żeby napić się kawy... no wie pan, podobno kofeina pomaga...

Pete znów kiwa głową. Wprawdzie to Henry jest psychiatrą, ale jak Pete wielokrotnie mu powtarzał, żeby być dobrym sprzedawcą, trzeba wiedzieć, jak działa ludzki umysł. Z

zadowoleniem stwierdza, że jego nowa znajoma trochę się uspokoiła. To dobrze. Wydaje mu się, że zdoła jej pomóc, jeśli tylko mu pozwoli. Czuje, że to osobliwe doznanie znów tylko czeka, żeby się pojawić. Lubi je. W sumie to nic wielkiego, nie przysporzy mu fortuny, ale tak czy inaczej naprawdę je lubi.

– Zajrzałam też do Ronny’ego, po drugiej stronie ulicy. Kupiłam apaszkę... no wie pan, przez ten deszcz... – Dotyka dłonią włosów. – Potem poszłam do auta. I okazało się, że nie mam tych przeklętych kluczyków. Wróciłam po kolei do sklepu, kafejki i apteki, ale nigdzie ich nie ma! A teraz nie zdążę na spotkanie!

W jej głosie znów pojawia się nuta niepokoju. Spogląda na zegar. Dla niego czas płynie w ślimaczym tempie, dla niej gna jak oszalały. Na tym polega różnica między ludźmi, konstatuje Pete. A w każdym razie jedna z nich.

– Proszę się uspokoić – mówi. – Niech pani się uspokoi choć na chwilę i uważnie mnie posłucha. Pójdziemy razem do apteki i poszukamy pani kluczyków.

– Nie ma ich tam! Zajrzałam na półkę, z której wzięłam aspirynę i pytałam sprzedawczynię...

– Nie zaszkodzi sprawdzić raz jeszcze. – Prowadzi ją w stronę drzwi, popychając ją lekko przed sobą. Podoba mu się zapach jej perfum, a jeszcze bardziej podobają mu się jej włosy. A skoro wyglądają tak ładnie w deszczowy dzień, to jak muszą wyglądać, kiedy świeci słońce?

– Moje spotkanie...

– Ma pani jeszcze czterdzieści minut. O tej porze roku, kiedy już nie ma turystów, powinna pani dotrzeć do Fryeburga w dwadzieścia minut. Dziesięć minut poświęćmy na szukanie pani kluczyków, a jak ich nie znajdziemy, sam panią odwiozę.

Kobieta patrzy na niego nieufnie, z powątpiewaniem.

On spogląda ponad jej ramieniem, w stronę biura.

– Dick! – woła. – Hej, Dickie M.!

Dick Macdonald unosi wzrok znad pliku faktur.

– Powiedz tej pani, że nie ma czego się obawiać i w razie potrzeby odwiezę ją bezpiecznie do Fryeburga.

– Och, naprawdę nic pani nie grozi – zapewnia Dick. – Nie jest zboczeńcem ani nie prowadzi jak wariat. Najwyżej spróbuje pani sprzedać samochód.

– Mnie trudno coś wcisnąć – odpowiada kobieta, uśmiechając się pod nosem. – Ale zawsze może pan próbować szczęścia.

– Zastąpisz mnie pod telefonem, Dick? – pyta Pete.

– No nie wiem, lekko nie będzie. Przy takiej pogodzie, jak sam wiesz, klienci walą drzwiami i oknami.

Pete i brunetka – Trish – przechodzą na drugą stronę ulicy i docierają do oddalonej o kilkanaście metrów Main Street. Apteka mieści się w drugim budynku po lewej. Mżawka przybiera na sile, zmieniając się niemalże w solidny deszcz. Kobieta zarzuca na głowę nową chustkę i spogląda na Pete’a, który ma gołą głowę. – Zmoknie pan.

– Pochodzę z północy stanu – odpowiada. – Tam rodzą się prawdziwi twardziele.

– Myśli pan, że naprawdę zdoła je odnaleźć? – pyta kobieta. Pete wzrusza ramionami.

– Może. Jestem niezły w znajdowaniu różnych rzeczy. Zawsze byłem.

– Wie pan coś, o czym ja nie wiem?

Żadnego odbijania piłki, żadnej gry, myśli. To wszystko, co wiem.

– Nie – odpowiada. – Jeszcze nie.

Wchodzą do apteki, a dzwonek nad drzwiami brzęczy. Dziewczyna za ladą unosi wzrok znad czasopisma. O trzeciej dwadzieścia w to późne wrześnie popołudnie w aptecce nie ma żywego ducha poza ich trojgiem i panem Dillerem przy stanowisku z lekami na receptę.

– Cześć, Pete – mówi sprzedawczyni.

– Czołem, Cathy, co u ciebie?

– Sam wiesz, stara bieda. – Spogląda na brunetkę. – Bardzo

mi przykro, proszę pani. Sprawdziłam jeszcze raz, ale ich nie znalazłam.

– Nie szkodzi – Trish posyła jej wątpliwy uśmiech. – Ten dżentelmen zgodził się zawieźć mnie na spotkanie.

– No cóż – odpowiada Cathy. – Pete jest w porządku, ale raczej nie nazwałabym go dżentelmenem...

– Uważaj, co mówisz, moja droga – ostrzega z uśmiechem Pete. – Bo wylądujesz w sieciówce na stacji benzynowej w Naples.

Patrzy na zegarek. Dla niego także czas zaczął przyspieszać. No i dobrze, to miła odmiana.

Spogląda na Trish.

– To tutaj przyszła pani najpierw. Po tabletki.

– Zgadza się. Kupiłam anacin. Ale miałam jeszcze trochę wolnego czasu, więc...

– Wiem, poszła pani na kawę do Christie's, a później do Renny's po drugiej stronie ulicy.

– Tak.

– Popiła pani aspirynę gorącą kawą?

– Nie. Miałam w aucie butelkę wody mineralnej. – Trish wskazuje ręką przez szybę na zielonego taurusa. – Ale sprawdziłam na fotelu, panie... Pete. W stacyjce też ich nie zostawiłam. – Posyła mu zniecierpliwione spojrzenie, które mówi: „Wiem, co teraz myślisz: głupia baba”.

– Jeszcze jedno pytanie. Jak znajdę pani kluczyki, wybierze się pani ze mną na kolację? Moglibyśmy się spotkać w West Wharf. To po drodze... pomiędzy Bridgton a...

– Wiem, gdzie jest West Wharf – mówi kobieta, nieco rozbawiona, pomimo niepokoju. Przy ladzie Cathy nawet nie próbuje udawać, że czyta czasopismo. Zresztą to, co się dzieje, jest znacznie ciekawsze niż „Redbook”. – A skąd pan wie, że nie jestem mężatką?

– Nie nosi pani obrączki – odpowiada skwapliwie, choć nawet nie popatrzył na jej dłonie, a w każdym razie nie miał okazji dobrze im się przyjrzeć. – Poza tym proponuję tylko

smażone małże, sałatkę coleslaw i ciasto z truskawkami, a nie związek na całe życie.

Kobieta patrzy na zegar.

– Pete... panie Moore... obawiam się, że w tej chwili nie w głowie mi flirtowanie. Jeżeli zechce mnie pan podwieźć, chętnie wybiorę się z panem na kolację. Ale...

– To mi wystarczy – odpowiada. – Ale coś mi mówi, że będzie pani prowadzić swój własny samochód, więc spotkajmy się na miejscu. Może być wpół do szóstej?

– Oczywiście, ale...

– Doskonale. – Pete jest uszczęśliwiony. To dobrze. W ostatnich latach nie czuł się zbyt szczęśliwy i w sumie nie wie nawet dlaczego. Z powodu zbyt wielu długich zakrapianych wieczorów w knajpach przy szosie numer trzysta dwa, pomiędzy Bridgton a North Conway? Tak, ale czy to wszystko? Może nie, ale nie czas się nad tym zastanawiać. Ta kobieta ma bardzo ważne spotkanie. Jeżeli zdąży dotrzeć na miejsce i sprzeda ten dom, kto wie, może szczęście uśmiechnie się także do Pete’a Moore’a? A jeśli nawet nie, przynajmniej jej pomoże. Ma przeczucie, że da radę.

– Zrobię coś dziwnego – mówi. – Ale proszę się nie niepokoić, dobrze? To tylko taka mała sztuczka, jak przyłożenie palca pod nos, żeby powstrzymać kichnięcie, albo uderzenie się w czoło, żeby przypomnieć sobie czyjeś nazwisko. W porządku?

– Chyba tak – odpowiada kobieta, ale minę ma nietęgą.

Pete zamyka oczy, unosi dłoń zaciśniętą luźno w pięść na wysokość twarzy, a potem prostuje palec wskazujący. I zaczyna poruszać nim z boku na bok.

Trish zerka na Cathy. Ta wzrusza ramionami, jakby chciała powiedzieć: „A kto go tam wie?”.

– Panie Moore? – W głosie Trish pobrzmiewa niepewność. – Panie Moore, może powinnam...

Pete otwiera oczy, bierze głęboki oddech i opuszcza rękę. Patrzy w stronę drzwi, za kobietę.

– Dobrze – mówi. – A więc weszła pani tutaj... – Jego wzrok przesuwają się, jakby śledził jej wizytę w aptecce. – I podeszła pani do lady... – Przenosi wzrok w tę stronę. – Przypuszczam, że zapytała pani, gdzie znajdzie aspirynę albo coś w tym rodzaju.

– Tak...

– Ale kupiła pani coś jeszcze. – Widzi go, przy regale ze słodyczami, wyraźny, jasnożółty ślad, jak odcisk ręki. – Snickersa?

– Moundsa. – W jej brązowych oczach pojawia się zdumienie i niedowierzanie. – Skąd pan wiedział?

– Najpierw poszła pani po batoniki, a potem po aspirynę... – Spogląda teraz w głąb drugiej alejki między regałami. – Na koniec pani zapłaciła i wyszła... Wyjdźmy na chwilę na zewnątrz, dobrze? Na razie, Cathy.

Cathy tylko kiwa głową i patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

Pete wychodzi na zewnątrz, nie zważając na dźwięk dzwonka ani na deszcz, który teraz leje jak z cebra. Na chodniku wciąż widać żółte ślady, ale szybko blakną. Deszcz zmywa je z chodnika. Ale on je widzi i to go cieszy. Znów czuje to osobliwe kliknięcie gdzieś w swoim wnętrzu. Cudowne. To linia. Tyle czasu minęło, odkąd widział ją równie wyraźnie.

– Z powrotem do auta – mówi do siebie. – Żeby popić aspirynę wod...

Wolno przechodzi przez chodnik w stronę taurusa. Kobieta idzie za nim, wydaje się bardziej zaniepokojona niż wcześniej. Jest nieomal przerażona.

– Otworzyła pani drzwi... Miała pani torebkę... kluczyki... aspirynę... batonik... przekładała pani to wszystko z jednej ręki do drugiej... i wtedy...

Schyla się, zanurza rękę aż po nadgarstek w wodzie płynącej w rynsztoku przy krawężniku i nagle coś znajduje. Wykonuje szarmancki gest, jak iluzjonista prezentujący sztuczkę. W słabym świetle dnia kluczyki połyskują srebrzyście.

– ...upuściła pani kluczyki.

W pierwszej chwili nie odbiera ich od niego. Patrzy tylko, z rozdziawionymi ustami, jakby na jej oczach dokonał iście czarnoksięskiej sztuczki (mającej być może jakiś związek z prawdziwą czarną magią, kto to wie?).

– Śmiało – mówi do niej, a uśmiech znika powoli z jego ust.
– Proszę je wziąć. Nie ma w tym nic niezwykłego. Zwyczajna dedukcja, nic więcej. Jestem w tym niezły. I powinna pani mieć mnie przy sobie, gdy zgubi pani drogę w nieznanej okolicy. Świetnie potrafię odnajdywać drogę, to mój największy atut.

Dopiero teraz odbiera od niego kluczyki. Szybko, żeby nawet przypadkiem nie dotknąć jego palców, a on już wie, że się z nim nie spotka. Nie potrzeba żadnego szczególnego daru, żeby się tego domyślić – wystarczyło spojrzeć jej w oczy i dostrzec strach zamiast wdzięczności.

– Dziękuję... bardzo panu dziękuję... Naprawdę. – Cofa się o krok, żeby zachować dystans.

– Nie ma o czym mówić. Tylko proszę pamiętać. West Wharf, o wpół do szóstej. Najlepsze smażone małże w tej części stanu. – Stara się podtrzymywać iluzję. Czasami tak trzeba, niezależnie od tego, co czujesz. I choć to popołudnie utraciło sporo ze swojego wcześniejszego uroku, Pete nadal ma powody do zadowolenia, bo przecież zobaczył linię, a to zawsze wprawia go w dobry nastrój. Może to tylko mało istotna sztuczka, ale tak czy owak dobrze, że ją zna.

– Wpół do szóstej – powtarza kobieta, ale otwierając drzwi, spogląda na niego z ukosa jak na psa, który może ukąsić, gdyby tylko zerwał się z łańcucha. Cieszy się, że nie musi jechać z nim do Fryeburga. Pete i bez jasnowidzenia zdaje sobie z tego sprawę.

Stoi w strugach deszczu, patrząc jak kobieta wyprowadza wóz z miejsca, gdzie zaparkowała, i żegna ją typowym dla handlarza samochodów, energicznym machaniem ręki. W odpowiedzi ona wykonuje prawie niedostrzegalny gest, poruszając palcami. I oczywiście, kiedy on zjawia się w West Wharf (kwadrans po piątej, ot tak, na wszelki wypadek), nie ma jej i nie pojawia

się tam nawet godzinę później. Mimo to Pete czeka na nią jeszcze jakiś czas, siedząc przy barze i sącząc piwo, a przy okazji obserwuje samochody mknące trzystadwójką. Odnosi wrażenie, że ją dostrzega, jak przejeżdża tą drogą o piątej czterdzieści, nie zwalniając ani na moment. Zielony taurus mignął mu w strugach ulewnego deszczu; zielony taurus, który mógł ciągnąć za sobą błądy żółtawy nimb, rozplywający się w gęstniejącej szarówce.

Nowy dzień, stary szajs, myśli, jednak cała radość, jaką odczuwał, znika i powraca smutek, ten smutek, który wydaje mu się czymś, na co zasługuje, jak cena nie do końca zapomnianej zdrady. Zapala papierosa – dawno temu, kiedy był nastolatkiem, lubił udawać, że pali, ale teraz już nie musi udawać – i zamawia kolejne piwo.

Milt podaje mu je, ale mówi: „Powinieneś coś wrzucić na ruszt”.

Pete zamawia porcję małży i nawet zjada parę sztuk, z sosem tatarskim, wypijając przy okazji jeszcze dwa piwa, a potem, zanim przeniesie się do innej knajpy, gdzie nie znają go tak dobrze jak tu, próbuje zadzwonić do Jonesy’ego do Massachusetts. Jednak Jonesy i Carla najwyraźniej wybrali się gdzieś razem, bo telefon odbiera opiekunka do dziecka, która pyta go, czy chciałby zostawić wiadomość.

Pete już ma odpowiedzieć że nie, ale nieoczekiwanie zmienia zamiar.

– Proszę mu powiedzieć, że dzwonił Pete. I że powiedział NDSS.

– N... D... S... S... – Zapisuje. – Czy on będzie wiedział, co...

– O tak – odpowiada Pete. – Na pewno będzie wiedział.

Do północy upija się w sztok w spelunie w New Hampshire, Muddy Rudder, a może Ruddy Mother, próbuje wmówić jakiejś laluni, równie pijanej jak on, że będzie pierwszym człowiekiem, który postawi stopę na Marsie. Choć ona tylko kiwa głową i potakuje raz po raz, on wie, że zależy jej wyłącznie na tym, aby

przed zamknięciem wypić jeszcze jedną kawę z brandy. No i dobrze. To nie ma znaczenia. Jutro obudzi się z bolącą głową, ale i tak pojedzie do pracy i może nawet uda mu się sprzedać samochód, a może nie. Tak czy owak, życie potoczy się dalej. Może nawet sprzeda thunderbirda, tego w kolorze burgunda, żegnaj, moja piękna. Kiedyś wszystko było inne, teraz jest takie samo. Mimo to sądzi, że da sobie radę, dla niego najważniejsza jest zasada NDSS, i co mu zrobią? Dorastasz, stajesz się mężczyzną i musisz pogodzić się z tym, że dostajesz mniej, niż się spodziewałeś; odkrywasz, że maszyna do spełniania marzeń ma kartkę z napisem NIE DZIAŁA.

W listopadzie wybierze się z kumplami na polowanie i to jest coś, na co warto czekać... na to i może też na soczystego łodzika od tej podpitej uszminkowanej laluni w jego aucie. Oczekiwać czegoś więcej, to jak prosić się o rozczarowanie.

Marzenia są dla dzieciaków.

1998: Henry przyjmuje kozetkowego pacjenta

W gabinecie panuje półmrok. Henry zawsze reguluje oświetlenie, kiedy gości pacjentów. Co ciekawe, mało kto zwraca na nie uwagę. Zdaniem Henry'ego to dlatego, że ich umysły są spowite mrokiem. Przyjmuje zwłaszcza neurotyków (w lasach aż się od nich roi, jak powiedział kiedyś Jonesy'emu, kiedy byli akurat, ha, ha, w lesie) i jego zdaniem, skądinąd niepopartym naukowo, ich problemy są jak polaryzujące tarcze oddzielające ich od reszty świata. W miarę jak neuroza się pogłębia, gęstnieje także mrok w ich wnętrzu. Względem pacjentów odczuwa nieco zdystansowane współczucie. Czasami jest mu ich szkoda. Niektórzy – tych jest zaledwie garstka – zwyczajnie go irytują. Barry Newman do nich właśnie należy.

Pacjenci, którzy po raz pierwszy przestępują próg gabinetu Henry'ego, stają z miejsca przed wyborem, choć w większości nie

zdają sobie z tego sprawy. Po wejściu do środka widzą miły (choć tonący w półmroku) pokój z kominkiem po lewej. Kominek jest wyposażony w imitację bierwion – drewno opałowe stylizowane na brzozę tak naprawdę jest ze stali – i cztery przemysłnie rozmieszczone z tyłu gazowe palniki. Obok kominka stoi wielki fotel, w którym zawsze siada Henry. Nad fotelem wisi doskonała reprodukcja *Nagietków* van Gogha (Henry w rozmowach z kolegami mawia zwykle, że każdy psychiatra powinien mieć w gabinecie przynajmniej jednego van Gogha). Po drugiej stronie pokoju stoi fotel i kozetka.

Henry’ego zawsze frapuje, co wybierze nowy pacjent. Pracuje w zawodzie dostatecznie długo, by wiedzieć, że ten pierwszy wybór określa zachowanie pacjenta podczas kolejnych wizyt. To materiał na poważną pracę naukową. Henry wie o tym, ale nie potrafi sformułować właściwej tezy. A poza tym ostatnio coraz mniej interesują go prace naukowe, czasopisma branżowe, zjazdy i wykłady. Kiedyś się liczyły, ale to się zmieniło. Mniej sypia, mniej je, rzadziej się śmieje. Mrok – ten polaryzujący filtr – wniknął także do jego życia, a Henry niespecjalnie się tym przejął. Blask już tak nie razi.

Barry Newman od początku był pacjentem kozetkowym, a Henry ani przez chwilę nie sądził, że ma to związek ze stanem psychicznym Barry’ego. Po prostu na kozetce jest wygodniej, choć niekiedy Henry musi pomóc mu wstać, kiedy minie przeznaczone na wizytę pięćdziesiąt minut. Barry Newman ma metr sześćdziesiąt osiem wzrostu i waży sto dziewięćdziesiąt kilo. Dlatego właśnie wybrał kozetkę.

Podczas każdej sesji wygłasza długie monologi, w których relacjonuje swoje kulinarne przygody z całego tygodnia. Nie żeby Barry miał wyrafinowany gust, nic z tych rzeczy. Jest wręcz przeciwnie. Barry pochłania wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu. Jest niczym maszyna do pochłaniania. A jego pamięć w tej kwestii wydaje się niemalże pamięcią ejdetyczną. Jedzenie jest dla niego tym, czym dla Pete’a, kumpla Henry’ego, jest geografia

i orientacja w terenie.

Henry już prawie zrezygnował z prób odciągnięcia Barry'ego od drzew i pokazania mu lasu z szerszej perspektywy. Po części dlatego, że pacjent przejawia łagodną, choć niewzruszoną determinację, jeżeli chodzi o tematykę rozmów – chce mówić wyłącznie o jedzeniu i konkretnych potrawach – po części zaś dlatego, że Henry nie lubi Barry'ego. Nigdy za nim nie przepadał. Rodzice Barry'ego nie żyją. Ojciec odszedł, kiedy Barry miał szesnaście lat, matka – gdy miał dwadzieścia dwa. Zostawili mu spory majątek, ale przejdzie on na własność Barry'ego dopiero wtedy, kiedy ten skończy trzydzieści lat. O ile nie zrezygnuje z terapii. W przeciwnym razie pieniądze będą zarządzane przez fundusz, dopóki Barry nie przekroczy pięćdziesiątki.

Henry wątpi, czy pacjent dożyje pięćdziesięciu lat. Ciśnienie krwi Barry'ego (o czym wspominał Henry'emu z niejaką dumą) wynosi sto dziewięćdziesiąt na sto czterdzieści.

Poziom cholesterolu osiągnął dwieście dziewięćdziesiąt, to istna żyła złota lipidów.

Jestem chodzącym udarem mózgu, chodzącym zawałem serca, powiedział Henry'emu któregoś razu, z niewzruszoną powagą, jakby wyznawał tę bolesną, trudną prawdę, w głębi duszy wiedząc, że taki koniec na pewno go nie spotka, bo dla niego jest przewidziane coś całkiem innego.

– Zjadłem na lunch w Burger Kingu dwa podwójne burgery – mówi teraz. – Przepadam za nimi, bo ser w nich jest zawsze gorący.

Jego mięsiste wargi, zaskakująco małe jak na tak ogromnego mężczyznę, jak u ryby, napinają się i drżą leciutko, jakby czuły właśnie smak tego nadzwyczajnego gorącego sera.

– Wypiłem też koktajl mleczny, a w drodze do domu zjadłem kilka babeczek. Uciąłem sobie drzemkę, a potem odgrzałem w mikrofalówce paczkę mrożonych gofrów Eggo. – Palce lizać! – woła na całe gardło, a potem zaczyna się śmiać.

To śmiech człowieka, który wspomina coś szczególnie

przyjemnego: urzekający zachód słońca, dotyk jędrnej kobiecej piersi przez materiał jedwabnej bluzki (choć Henry podejrzewa, że Barry nie miał okazji tego doświadczyć), albo ciepło piasku na plaży.

– Większość ludzi odgrzewa je w tosterze – ciągnie Barry. – Ale moim zdaniem robią się wtedy zbyt chrupiące. Z mikrofalówki są gorące i mięciutkie. Gorące... i mięciutkie. – Oblizuje swoje rybie wargi. – Miałem lekkie wyrzuty sumienia, że spałaszowałem całą paczkę.

Dodaje te słowa nieomal mimochodem, jakby przypomniał sobie, że Henry przecież tu nad nim pracuje. Dorzuca tego rodzaju uwagę cztery czy pięć razy przy każdej sesji... i zaraz znów wraca do tematu jedzenia.

Barry jest teraz przy wtorkowym wieczorze. Ponieważ jest piątek, zostało mu jeszcze do zrelacjonowania sporo posiłków i przekąsek. Henry zaczyna błdzić gdzieś myślami. Barry to jego ostatni pacjent tego dnia. Kiedy tylko Barry zakończy swoją kaloryczną inwentaryzację, Henry wróci do mieszkania, żeby się spakować. Jutro o szóstej rano wstanie, a między siódmą i ósmą wpadnie po niego Jonesy. Wsadzą rzeczy do starego scouta, którego Henry nie pozbył się tylko przez wzgląd na ich jesienne polowania, a o wpół do dziewiątej wyruszą we dwóch na północ. Po drodze wpadną jeszcze po Pete'a do Bridgton i po Beavera, który wciąż mieszka niedaleko Derry. Przed wieczorem dotrą do Dziury w Ścianie, przy Jefferson Tract, będą rznąć w karty i wsłuchiwać się w odgłosy wiatru hulającego wokół chatki. Ich broń znajdzie się w kącie kuchni, a legitymacje myśliwskie zawisną na haczyku na tylnych drzwiach.

Znów będzie z przyjaciółmi, jakby był z powrotem w domu. Na tydzień ten polaryzujący filtr utraci moc. Będą rozmawiać o starych dobrych czasach, śmiać się z barwnych inwektyw Beavera, a jeśli któryś z nich zdoła przy okazji ustrzelić jelenia, to jeszcze lepiej. Razem nadal są świetni. Razem mogą pokonać czas.

Gdzieś tam w tle Newman wciąż papie. Opowiada o żeberkach z grilla z tłuczonymi ziemniakami i gotowaną kukurydzą, obficie polaną masłem, o torcie czekoladowym, miseczce pepsi coli z pływającymi w niej czterema gałkami lodów kakaowych, o jajeczniczy, jajkach sadzonych, jajkach na miękko, jajkach na twardo...

Henry kiwa głową wtedy, kiedy trzeba, ale puszcza słowa pacjenta mimo uszu. To umiejętność, jakiej nabywa każdy psychiatra.

Nie ulega wątpliwości, że Henry i jego kumple mają sporo problemów. Beaver nie radzi sobie w związkach, Pete za dużo pije (o wiele za dużo, zdaniem Henry'ego), Jonesy i Carla byli o włos od rozwodu, a Henry boryka się z depresją, która wydaje mu się tyleż kusząca, co nieprzyjemna. A więc tak, mają swoje problemy, bez dwóch zdań. Jednak razem są nadal świetni, wciąż potrafią pokazać, na co ich stać, a od jutra wieczorem znów będą razem. W tym roku przez osiem dni. To dobrze.

– Wiem, że nie powinienem, ale rano naprawdę muszę. Może to przez niski poziom cukru we krwi. Tak czy owak, zjadłem resztę ciasta, które miałem w lodówce, a potem wsiadłem do auta i pojechałem do Dunkin' Donuts, gdzie kupiłem tuzin pączków z jabłkiem i cztery...

Henry wciąż myśli o dorocznym wypadzie na polowanie, który czeka go już jutro, i nie zdaje sobie sprawy z tego, co mówi.

– Może się kompulsywnie objadasz, Barry, bo uważasz, że zabiłeś swoją matkę. Myślisz, że może tak być?

Potok słów pacjenta urywa się. Henry unosi wzrok i widzi Barry'ego Newmana wpatrującego się w niego wybałuszonymi oczami, które wreszcie widać w jego nalanej twarzy. I choć Henry wie, że powinien przestać, w ogóle nie powinien był tego mówić, i że to nie ma nic wspólnego z terapią, nie chce przestać. Może ma to związek z kumplami, o których wciąż myśli, a może z widokiem oszołomionego Barry'ego i bledością jego policzków. Henry'ego najbardziej drażni, że Barry wydaje się zadowolony

z siebie. Nie odczuwa wewnętrznej potrzeby zmiany swojego autodestrukcyjnego zachowania ani odnalezienia jego źródła.

– Naprawdę wierzysz, że ją zabiłeś, prawda? – pyta Henry. Mówi spokojnym, niemal obojętnym tonem.

– Ja... ja nigdy... to oburzające...

– Wołała cię, raz po raz, bez końca, narzekała na bóle w piersi, ale przecież ciągle narzekała, prawda? Tydzień w tydzień. A może nawet dzień w dzień. Wołała cię: „Barry, zadzwoń do doktora Withersa! Barry, wezwij karetkę! Barry, zadzwoń na pogotowie!”.

Nigdy nie rozmawiali o rodzicach Barry’ego. Na swój miękki, tłusty, niewzruszony sposób Barry na to nie pozwalał. Mówił parę słów na ich temat, ale zaraz – rach, ciach – przechodził do opowieści o jagnięcinie z rusztu, smażonych kurczakach albo pieczonej kacze w sosie pomarańczowym. Wracał do inwentaryzacji. Dlatego Henry nie wie nic o rodzicach Barry’ego, a już na pewno nie o dniu, kiedy jego matka umierała, spadając z łóżka i sikając na dywan, przez cały czas wołając syna – sto czterdzieści kilo i tak odrażająco tłusta – na próżno bez końca wołając syna. Henry nie może o tym wiedzieć, bo mu o tym nie powiedziano, a jednak wie. I Barry był wtedy szczuplejszy. Ważył niecałe dziewięćdziesiąt kilo.

U Henry’ego to odpowiednik linii. Widzenia linii. Henry nie widział jej od dobrych pięciu lat (choć czasami pojawia się we śnie) i myślał, że już mu się to nie przydarzy, ale znowu się stało.

– Siedziałeś przed telewizorem, słuchając, jak cię woła – mówi. – Oglądałeś talk show Ricki Lake i jadłeś, co? Sernik? Lody? Nie wiem dokładnie. Ale nie zwracałeś uwagi na jej wrzaski.

– Przestań!

– Nie przejmowałeś się jej wołaniem, bo niby czemu? Przez całe życie ta hipochondryczka podnosiła fałszywe alarmy. Nie jesteś głupi i wiesz, że tak właśnie było. Takie rzeczy się zdarzają. Też doskonale o tym wiesz. Obsadziłeś się w swojej własnej

małej sztuce Tennessee Williamsa, bo uwielbiasz jeść. Ale wiesz co, Barry? Jedzenie naprawdę cię zabije. W głębi duszy w to nie wierzysz, ale tak właśnie będzie. Twoje serce już teraz bije jak pochowana żywcem ofiara przedwczesnego pogrzebu, tłukąca pięściami w wieko trumny. Jak to będzie, kiedy przytyjesz jeszcze ze trzydzieści, czterdzieści kilo?

– Dość...

– Gdy się przewrócisz, Barry, to będzie, jakby się zawaliła wieża Babel na pustyni. Ludzie będą mówić o tym latami. Człowieku, naczynia pospadają z półek...

– Przestań! – Barry siada, tym razem bez pomocy Henry’ego. Jest śmiertelnie blady, ma tylko niewielkie rumieńce na policzkach.

– Kawa powylewa się z filiżanek, a ty popuścisz w gacie, tak jak ona...

– Przestań! – krzyczy Barry Newman. – Przestań, ty potworze!

Ale Henry nie przestaje. Nie może przestać. Widzi linię, a jak się ją widzi, nie można nagle przestać jej widzieć.

– Chyba że ockniesz się w końcu z tego snu, który cię zabija. Bo widzisz, Barry...

Ale Barry nie widzi ani wcale nie chce zobaczyć.

Dociera do drzwi, otwiera je i po chwili już go nie ma. Kołysząca się góra cielska o rozdygotanych pośladkach opuszcza w popłochu gabinet.

W pierwszej chwili Henry siedzi w bezruchu, wsłuchując się w grzmiące odgłosy jednoosobowego, spłoszonego stada bizonów, jakim stał się Barry Newman. Poczekalnia jest pusta, Henry nie ma sekretarki, a po nagłym wyjściu Barry’ego tydzień pracy można wreszcie uznać za zakończony. No i dobrze. To były ciężkie dni. Podchodzi do kozetki i kładzie się na niej.

– Doktorze – mówi. – Narobiłem niezłego bigosu.

– Jak to się stało, Henry?

– Powiedziałem pacjentowi prawdę.

– Czy prawda nie powinna nas wyzwolić, Henry?
– Nie – odpowiada sam sobie, wlepiając wzrok w sufit. – Ani trochę.

– Zamknij oczy, Henry.

– Dobrze, doktorze.

Zamyka oczy. Pokój zastępuje ciemność. To dobrze. Ciemność stała się jego przyjacielem. Jutro spotka się ze swoimi przyjaciółmi (a w każdym razie z trzema spośród nich) i światło znów stanie się mile widziane. Ale teraz... póki co...

– Doktorze?

– Tak, Henry.

– To typowy przypadek nowego dnia i starego szajsu. Wie pan o tym?

– Co to oznacza, Henry? Co to oznacza dla ciebie?

– Wszystko – odpowiada, nie otwierając oczu, po czym dodaje: – Nic. – Ale to kłamstwo. Nie pierwsze, jakie tutaj padło.

Leży na kozetce, z zamkniętymi oczami i dłońmi splecionymi na piersi, a kilka chwil później zasypia.

Następnego dnia cała czwórka pojedzie do Dziury w Ścianie i spędzi tam osiem wspaniałych dni. Wspaniałe wyprawy myśliwskie już wkrótce dobiegną końca, zostało ich ledwie kilka, ale rzecz jasna oni o tym nie wiedzą. Od prawdziwej ciemności dzieli ich jeszcze kilka lat, ona jednak nadchodzi.

Nadchodzi ciemność.

2001: Jonesy spotyka się ze studentem

Nie potrafimy przewidzieć dni, które odmienią nasze życie. Może to i dobrze. W dniu, który diametralnie odmieni jego życie, Jonesy siedzi w swoim gabinecie na drugim piętrze John Jay College, patrząc przez okno na widoczny przez nie maleńki fragment Bostonu. Myśli, jak bardzo mylił się T.S. Eliot, nazywając kwiecień najokrutniejszym miesiącem w roku tylko dlatego, że pewien wędrowny cieśla z Nazaretu rzekomo dał się

wtedy ukrzyżować za podżeganie do buntu. Każdy mieszkaniec Bostonu wie doskonale, że to marzec jest najokrutniejszym miesiącem – daje kilka złudnych dni nadziei, a następnie z ścią diaboliczną satysfakcją szykuje człowiekowi jedną nieprzyjemną niespodziankę po drugiej. Dziś jest jeden z tych zwodniczych dni, kiedy może się wydawać, że wiosna tuż-tuż, i Jonesy zamierza wybrać się na spacer, kiedy tylko upora się z przykrymi obowiązkami, od których nie zdoła się wymigać. Oczywiście Jonesy nie zdaje sobie sprawy, że przykry obowiązek to błahostka w porównaniu z tym, co jeszcze dziś go czeka nie ma pojęcia, że mocno poobijany wyląduje w szpitalu, walcząc o życie.

Nowy dzień, stary szajs. Ale ten szajs będzie naprawdę zupełnie inny.

Wtedy dzwoni telefon, on szybko odbiera, przepelnięty złudną nadzieją, że to może Defuniak, który chce odwołać spotkanie o jedenastej. Zwęszył pismo nosem, myśli Jonesy, i w sumie to całkiem możliwe. Zwykle to studenci umawiają się na spotkanie z wykładowcą. Kiedy dzieciak dostaje wiadomość, że nauczyciel wzywa go na rozmowę... cóż, nie trzeba być geniuszem, aby zorientować się w czym rzecz.

– Słucham, tu Jones – mówi.

– Cześć, Jonesy, jak leci?

Rozpoznałby ten głos wszędzie.

– Henry! Hej! Świetnie. Wszystko doskonale!

Tak naprawdę wcale nie jest świetnie, zwłaszcza że za kwadrans ma trudną rozmowę z Defuniakiem, ale przecież wszystko jest względne, czyż nie? W porównaniu z tym, co go czeka za dwanaście godzin, kiedy podłączony do tych wszystkich popiskujących maszyn będzie miał za sobą operację i w niedalekiej przyszłości trzy kolejne, można powiedzieć, że Jonesy na razie ma się jak pączek w maśle.

– Miło mi to słyszeć.

Jonesy mógł wychwycić wahanie w głosie Henry'ego, ale raczej po prostu je wyczuł w inny, mniej oczywisty sposób.

– Henry? Co się stało?

Cisza. Jonesy już ma powtórzyć pytanie, kiedy przyjaciel odpowiada.

– Wczoraj zmarł mój pacjent. Przypadkiem zauważyłem nekrolog w gazecie. Nazywał się Barry Newman. – Henry milknie na chwilę. – Był kozetkowym pacjentem.

Jonesy nie wie, co to oznacza, ale czuje, że jego stary przyjaciel jest mocno przybity. Po prostu to wie.

– Samobójstwo?

– Atak serca. W wieku dwudziestu dziewięciu lat. Sam wykopał sobie grób, łyżką i widelcem.

– Przykro mi.

– Nie był moim pacjentem od blisko trzech lat. Nieźle go wystraszyłem. To był... jeden z tych epizodów. Wiesz, o czym mówię?

Jonesy się domyśla.

– O linii?

Henry wzdycha. Jonesy odnosi wrażenie, jakby tamten westchnął raczej z ulgą niż z głębokim żalem.

– Tak. Powiedziałem mu całą prawdę, bez owijania w bawełnę. Zwiął, aż się za nim kurzyło.

– To nie czyni cię odpowiedzialnym za jego zawał.

– Może masz rację, ale i tak źle się z tym wszystkim czuję.

– Chwila ciszy. A potem z lekką nutą rozbawienia: – Czy to nie brzmi jak cytat z piosenki Jima Croce’a? Na pewno wszystko u ciebie w porządku, Jonesy?

– U mnie? Tak, czemu pytasz?

– Nie wiem – odpowiada Henry. – Ale... myślałem o tobie, odkąd sięgnąłem po gazetę i zobaczyłem nekrolog ze zdjęciem Barry’ego. Uważaj na siebie.

Jonesy czuje nagle chłód przejmujący go do szpiku kości – tych samych kości, które już wkrótce zostaną pogruchotane.

– O czym ty mówisz? O co ci chodzi?

– Sam nie wiem – odpowiada Henry. – Może to nic takiego.

A może...

– To znowu linia? – Jonesy jest coraz bardziej zaniepokojony. Obraca się wraz z fotelem w stronę okna i patrzy przez szybę na rozjaśniony wiosennym słońcem pejzaż. Przychodzi mu na myśl, że może ten Defuniak jest jakiś pokręcony, może nosi przy sobie pistolet (ma w kieszeni klamkę, jak to określają niektórzy autorzy kryminałów, które Jonesy lubi czytać w wolnych chwilach), a Henry w jakiś sposób to wychwycił?

– Nie wiem. Pewnie to z powodu zdjęcia i nekrologu Barry’ego w gazecie. Ale mimo wszystko uważaj na siebie, przynajmniej przez jakiś czas, dobrze?

– Jasne... Będę uważał. Nie ma sprawy.

– To dobrze.

– A u ciebie wszystko gra?

– Pewnie że tak.

Jonesy jednak nie wierzy Henry’emu. Już ma coś powiedzieć, gdy nagle z tyłu za nim rozlega się ciche chrząknięcie i Jonesy uświadamia sobie, że to pewnie Defuniak.

– No dobra – mówi, obracając się na fotelu. Rzeczywiście, w drzwiach stoi jego gość z godziny jedenastej, ale wcale nie wygląda groźnie: to tylko nastolatek w przydużym wełnianym płaszczu, zbyt ciepłym na tę pogodę. Wydaje się chudy i niedożywiony, ma kolczyk w uchu i nastroszoną punkową fryzurę, parę kosmyków włosów opada mu na oczy. – Henry, wybacz, mam spotkanie. Oddzwonię...

– Nie, nie musisz. Naprawdę.

– Jesteś pewien?

– Tak. Ale jest coś jeszcze. Masz pół minuty?

– Jasne. – Unosi palec wskazujący, zerkając na Defuniaka, a chłopak bez słowa kiwa głową. Stoi i czeka cierpliwie, aż Jonesy wskaże mu krzesło stojące przy biurku w tym małym gabinecie, jedyne poza tym, na którym siedzi, niezawalone książkami. Defuniak z wahaniem podchodzi do krzesła i na nim siada. Jonesy rzuca do słuchawki: – Mów.

– Myślę, że powinniśmy wybrać się do Derry. Taki mały wypad, tylko ty i ja. Odwiedzić naszego starego przyjaciela.

– Masz na myśli... – Nie chce jednak wymienić tego dziecinnie brzmiącego imienia, gdy w gabinecie jest obcy.

Nie musi, robi to za niego Henry. Kiedyś było ich czterech, potem przez pewien czas pięciu, a teraz znowu czterech. Ale ten piąty tak naprawdę nigdy ich nie opuścił. Henry wymawia jego imię, imię chłopca, który jak za sprawą czarów wciąż pozostaje chłopcem. W jego przypadku niepokój Henry'ego łatwiej wyjaśnić. Nie chodzi o nic konkretnego, mówi Jonesy'emu, po prostu ma przeczucie, że staremu przyjacielowi dobrze zrobią ich odwiedziny.

– Rozmawiałeś z jego matką? – spytał Jonesy.

– Myślę, że będzie lepiej, jeśli, no wiesz... po prostu tam zajrzemy. Masz plany na ten weekend? Albo następny?

Jonesy nie musi nawet sprawdzać. Weekend zaczyna się pojutrze. W sobotę po południu ma zebranie rady pedagogicznej, ale bez trudu powinien się z niego wymigać.

– W ten weekend jestem wolny – odpowiada. – Może wpadnę do ciebie w sobotę? O dziesiątej?

– Doskonale – Henry znów wydaje się rozluźniony, taki jak dawniej. Jonesy zaczyna się uspokajać. – Na pewno?

– Skoro uważasz, że powinniśmy odwiedzić... – Jonesy przerywa na chwilę. – ...Dougłasa, to pewnie masz rację. Upłynęło sporo czasu.

– Masz gościa, tak?

– Uhm.

– Dobra. To czekam na ciebie w sobotę, o dziesiątej. Może pojedziemy scoutem. Przydałoby się trochę go rozgrzać. Co ty na to?

– Jestem za.

Henry się śmieje.

– Carla wciąż przygotowuje ci luncha, Jonesy?

– A jakże – Jonesy zerka na swoją aktówkę.

– Z czym masz dzisiaj kanapki? Z tuńczykiem?
– Z sałatką jajeczną.
– Mmm... psychota. Dobra. Będę już kończył. NDSS?
– NDSS – odpowiada Jonesy. Nie wymienia przy obcym imienia starego przyjaciela, ale NDSS może powiedzieć. – Zdzwonimy się...

– I bądź ostrożny. Mówię serio. – Napięcie w głosie Henry’ego jest aż nadto wyraźne i zdecydowanie niepokojące. Ale zanim Jonesy zdąży odpowiedzieć (a tak naprawdę co miałby powiedzieć, gdy Defuniak siedzi tuż obok, obserwując go i przysłuchując się rozmowie?), Henry już się rozłącza.

Jonesy przez chwilę patrzy w zamyśleniu na telefon, po czym odkłada słuchawkę na widelki. Następnie zagląda do swojego biurowego kalendarza, skreśla widniejący przy sobocie wpis „Przyjęcie u dziekana Jacobsona” i w to miejsce wpisuje „Wykręcić się, wyjazd z Henrym do Derry. Spotkanie z D.”. Ale te plany nie zostaną zrealizowane. W sobotę będzie zajęty czymś zupełnie innym niż myślenie o Derry i starych przyjaciółach.

Jonesy bierze głęboki wdech i wypuszcza powietrze, po czym przenosi wzrok na swojego wystraszonego gościa. Dzieciak wierci się nerwowo na siedzeniu. Jonesy uważa, że domyśla się, w jakiej sprawie go wezwano.

– No dobrze, panie Defuniak – mówi. – Z tego, co wyczytałem w pańskich aktach, pochodzi pan z Maine.

– Ee... tak. Konkretnie z Pittsfield. Ja...

– Z pańskich akt wynika również, że ma pan stypendium i jak dotąd świetnie pan sobie radził.

Dzieciak jest bardziej niż zaniepokojony. Wydaje się bliski łez. Boże, ależ to trudne. Jonesy nigdy dotąd nie oskarżył studenta o oszustwo, ale zapewne to nie ostatni raz. Ma jedynie nadzieję, że nie będzie się to zdarzać zbyt często. Bo to naprawdę trudne, Beaver nazwałby taką sytuację przerąbaną.

– Panie Defuniak... Davidzie... wiesz, co się dzieje ze stypendium studenta, który zostanie przyłapany na oszustwie? A

konkretnie na ściąganiu podczas egzaminu semestralnego?

Dzieciak podrywa się gwałtownie, jakby jakiś dowcipniś podłożył mu na krześle elektrody podłączone do akumulatora i właśnie włączył prąd, porażając jego kościsty tyłek. Usta chłopaka drżą, a po jego nieogolonym policzku spływa pierwsza łza.

– Powiem ci – mówi Jonesy. – Takie stypendium wyparowuje. Po prostu znika. Trzask, prask i nagle go nie ma.

– Ja... ja...

Na biurku Jonesy'ego leży teczka. Otwiera ją i wyjmuje test z historii Europy, jeden z tych koszmaków wielokrotnego wyboru, na który w swej bezbrzeżnej nieroztropności zdecydował się wydział edukacji. U góry na kartce ołówkiem IBM (zaznaczajcie wybrane odpowiedzi wyraźnie i zdecydowanie, jeżeli musicie coś wymazać, zróbcie to dokładnie) napisano DAVID DEFUNIAK.

– Zapoznałem się z twoimi dotychczasowymi osiągnięciami, Davidzie, przeczytałem twoją pracę o fundamentalizmie w średniowiecznej Francji, rzuciłem też okiem na twoje notatki. Nie jesteś może orłem, ale radziłeś sobie całkiem nieźle. Zdaję sobie sprawę, że chodziło ci w tym przypadku tylko o zaliczenie. Interesują cię całkiem inne przedmioty, mam rację?

Defuniak kiwa głową bez słowa. Na jego policzku w promieniach marcowego słońca błyszczą łzy.

Na skraju biurka stoi pudełko chusteczek higienicznych. Jonesy rzuca je chłopakowi, a ten chwyta je pomimo zdenerwowania. Niezły refleks. Kiedy masz dziewiętnaście lat, wszystkie połączenia nerwowe działają jak należy, wszystkie elementy funkcjonują bez zarzutu.

Niech pan trochę poczeka, panie Defuniak, myśli Jonesy. Ja mam zaledwie trzydzieści siedem lat, a już niektóre obwody coraz bardziej mi szwankują.

– Może jednak zasługujesz na drugą szansę – mówi Jonesy. Powoli, z rozmysłem zaczyna miąć w dłoniach piątkową pracę Defuniaka. Zgniata ją w małą kulkę.

– Może tuż przed sesją zachorowałeś i w ogóle nie przystąpiłeś do egzaminu.

– Rozchorowałem się – mówi z przejęciem Defuniak. – Chyba złapałem grypę!

– Wobec tego może powinienem zadać ci pracę do domu, skoro nie mogłeś przystąpić do testu jak twoi koledzy. O ile tego chcesz. Chcesz tego, Davidzie?

– Oczywiście – odpowiada chłopak, gorączkowo wycierając twarz paroma chusteczkami naraz. Przynajmniej nie próbował żalosnej linii obrony, że Jonesy nie potrafi udowodnić mu oszustwa, że zgłosi sprawę do samorządu studenckiego i tak dalej. Płacze tylko i choć to przykry widok, to również dobry znak – ma dziewiętnaście lat, niewiele, lecz większość jego rówieśników nie pamięta już, czym jest sumienie. Defuniak wydaje się szczery i być może w jego wnętrzu kryje się prawdziwy mężczyzna, którym nadal ma szansę się stać. – Tak, oczywiście że tak.

– Chyba rozumiesz, że jeśli coś takiego się powtórzy...

– Nie powtórzy się... – odpowiada z przejęciem chłopak. – Na pewno się nie powtórzy, profesorze Jones.

Choć Jonesy’emu nie przysługuje tytuł profesora, nie poprawia studenta. Bo przecież któregoś dnia zostanie profesorem Jonesem. Oby tak było, możliwie jak najszybciej, ma przecież z żoną kilkoro dzieci i jeśli wkrótce nie dostanie potężnego zastrzyku gotówki, najlepiej w formie podwyżki, ciężko im będzie związać koniec z końcem. A już teraz nie jest im lekko.

– Mam nadzieję – mówi. – Napisz pracę na trzy tysiące słów o następstwach normńskiego podboju, dobrze, Davidzie? Podaj źródła, przypisy możesz sobie darować. Praca ma być bez zadęcia, ale z jasno zarysowaną tezą. Chcę ją dostać do przyszłego poniedziałku. Rozumiemy się?

– Tak. Oczywiście, panie profesorze.

– No to ruszaj i bierz się zaraz do roboty. – Wskazuje na mocno sfatygowane trampki Defuniaka. – A następnym razem

zamiast piwa kup sobie nowe buty. Nie chciałbym, żebyś znów nabawił się grypy.

Defuniak podchodzi do drzwi i nagle się odwraca. Chce już wyjść z gabinetu, zanim pan Jones zmieni zdanie, ale przecież jest tylko dziewiętnastolatkiem. W dodatku bardzo ciekawskim.

– Ale skąd pan wiedział? Przecież nawet pana przy tym nie było. Podczas testu pilnował nas jakiś starszy student...

– Po prostu wiem i musi ci to wystarczyć – odpowiada krótko Jonesy. – Zmykaj, synu. Napisz dobrą pracę. Zachowaj stypendium. Ja też jestem z Maine, konkretnie z Derry, i znam Pittsfield. Lepiej się stamtąd wywodzić, niż być zmuszonym do powrotu.

– To prawda – zgadza się Defuniak. – Dziękuję. Dziękuję, że dał mi pan szansę.

– Tylko zamknij za sobą drzwi.

Defuniak, który pieniądze na trampki wyda wcale nie na piwo, ale na bukiet kwiatów dla Jonesy'ego, leżącego w szpitalu, wychodzi i posłusznie zamyka za sobą drzwi. Jonesy odwraca się i znów wygląda przez okno. Słoneczny dzień wydaje się zdradliwy, ale kuszący. A ponieważ sprawa z Defuniakiem poszła lepiej, niż się spodziewał, postanawia wybrać się na spacer, zanim pogodne niebo zasnują chmury zwiastujące zmianę pogody – a może nawet śnieżyć. Zamierzał zjeść lunch w swoim gabinecie, ale teraz przychodzi mu do głowy całkiem nowy pomysł. To najgorszy pomysł w całym jego życiu – ale naturalnie Jonesy tego nie wie. Zamierza wziąć teczkę, egzemplarz „Boston Phoenixa” i przespacerować się przez rzekę do Cambridge. Usiądzie na ławeczce i wygrzewając się w słońcu, zje kanapkę z sałatką jajeczną.

Wstaje, by włożyć teczkę Defuniaka do szuflady oznaczonej literami DF. Chłopak zapytał go, skąd wiedział, a Jonesy uważa, że to dobre pytanie. Wyborne pytanie. Odpowiedź jest następująca: wiedział, bo po prostu... czasami wie takie rzeczy. Oto cała prawda. Nie ma nic oprócz tego.

Gdyby ktoś przyłożył mu do skroni pistolet, powiedziałby, że dowiedział się podczas pierwszych zajęć w nowym semestrze, po sesji egzaminacyjnej, kiedy w umyśle Davida Defuniaka jak gdyby błyskał raz po raz czerwony neon pocucia winy: OSZUST OSZUST OSZUST.

Alte to przecież bzdura, nie umie czytać w myślach. Nigdy tego nie potrafił. Nigdy, przenigdy. Owszem, czasami zdarza mu się widzieć różne rzeczy, w jego głowie pojawiają się przebliski – w ten sposób dowiedział się o problemach swojej żony z pigułkami i być może w ten sam sposób zrozumiał, że Henry ma depresję, kiedy usłyszał w słuchawce jego głos (otóż to, usłyszałem to w jego głosie i tyle), ale takie rzeczy ostatnio mu się nie zdarzały. Nie przydarzyło mu się nic naprawdę dziwnego od tamtej sprawy z Josie Rinkenhauer. Może kiedyś miał dar i może to coś ciągnęło się za nim w późnym dzieciństwie i w okresie dojrzewania, ale teraz już się skończyło. Dawno temu. Odeszło na zawsze. Albo prawie odeszło.

Prawie.

Zakreśla słowa „Wyjazd do Derry” w biurowym kalendarzu i sięga po teczkę. W tej samej chwili nowa myśl przychodzi mu do głowy, nagle, bezsensowna, ale bardzo potężna. „Uważaj na Pana Szarego”.

Zatrzymuje się z jedną ręką na klamce. To był jego własny głos, bez dwóch zdań.

– No co? – zwraca się do pustego pokoju.

Nic.

Jonesy wychodzi z gabinetu, zamyka drzwi i sprawdza, czy dobrze się zatrzasnęły. W rogu korkowej tablicy z rozkładem zajęć wiszącej na drzwiach jego gabinetu przypięto białą niedużą karteczkę. Zdejmuje ją z tablicy i odwraca. Jest tam wydrukowany napis: „Wracam o pierwszej – do tego czasu jestem historią”. Przypina ją z powrotem do korkowej tablicy zdecydowanym ruchem, ale miną prawie dwa miesiące, zanim Jonesy znów wejdzie do tego pokoju i zobaczy biurowy kalendarz otwarty na

dniu świętego Patryka.

Uważaj na siebie, powiedział Henry, ale Jonesy nie myśli o tym, żeby mieć się na baczności. Myśli o ciepłych promieniach marcowego słońca. Myśli o kanapce, którą wkrótce spalażuje. I o dziewczynach, na które będzie mógł się pogapić, o ich krótkich spódniczkach, i o tym, że marcowe wiatry są dość porywiste. Myśli o wielu różnych rzeczach, ale nie o tym, że powinien uważać na Pana Szarego.

To błąd. Jeden z takich, które na zawsze odmieniają ludzkie życie.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).